

Stara przyjaźń nie rdzewieje...

Ostatnio przebywał w Polsce znany historyk węgierski, docent uniwersytetu w Szeged, prof. dr Bela Koracsanyi, który w związku z tysiącletnim państwem polskiego przygotowuje ciekawą pracę naukową, poświęconą stosunkom polsko-węgierskim w okresie średniowiecza. Prof. Koracsanyi bawił obecnie w naszym kraju po raz drugi. Teraz — na zaproszenie senatu Uniwersytetu Warszawskiego — przybył wraz z rektorem uniwersytetu w Szeged prof. dr Gyorgya Antolffy i grupą studentów tej uczelni — na kilkunastodniowy pobyt w Warszawie, Krakowie i Gdańsku.

A przedtem...?

— Byłem w Polsce w zeszłym roku na jesieni — opowiada prof. Koracsanyi. — Przez dwa miesiące pracowałem w Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu i Warszawie. Cały mój pobyt był bowiem związany z poszukiwaniem źródłowych materiałów i badaniami niezbędnymi do przygotowywanej pracy. Bardzo miłe wspominałem spotkania z profesorami Gieysztorem i Manteufflem w Warszawie, z prof. Gerardem Labudą i Brygidą Kurbiśówną w Poznaniu, z profesorami Karolem i Ewą Maleczyńskimi we Wrocławiu, prof. Marianem Plezią i prof. Budkową w Krakowie. Z niektórymi spośród nich spotkałem się również i teraz, z kilku profesorami utrzymuję stały kontakt listowny, wymieniamy książki i inne wydawnictwa naukowe.

— Tematem pracy, którą pan profesor przygotowuje, są kontakty polsko-węgierskie w okresie średniowiecza?

— Nie stawiam sobie tak szerokich zadań. Moja praca dotyczy tzw. „Kroniki węgiersko-polskiej”. Jest to stary średniowieczny tekst, wielokrotnie już wydawany, zarówno w Polsce, jak i na Węgrzech. Zawiera on legendę o życiu świętego Stefana, który panował na Węgrzech. Nie chodzi jednak o tę legendę. Tekst „Kroniki” zawiera bowiem wplecione w legendę mnóstwo najprzeróżniejszych „dodatków”, omówień, historii, faktów — właśnie o historycznych kontaktach polsko-węgierskich w owym czasie.

— To znaczy w XII wieku?

— W tym sensie, że właśnie nie wiadomo. Dotychczas nie rozstrzygnięto: gdzie i kiedy ten tekst powstał. Prof. Plezia utrzymuje, że w XIII wieku. W każdym razie „Kronika” ta jest dla Polski i dla

Węgier jednym z najstarszych pomników wzajemnych stosunków naszych narodów. W tekście występuje Bolesław — ale nie wiadomo dokładnie który: Śmiały czy Krzywousty? Mam wrażenie, że występują tu obaj — przemiesza ni z sobą. Podobnych zagadek jest w „Kronice” więcej. Rozwiązanie ich rzuci wiele nowego światła na wzajemne stosunki polsko-węgierskie w owych dawnych czasach.

A okres to dla badaczy bardzo ciekawy. I wszystko pozwala twierdzić, że kontakty polsko-węgierskie były wówczas znacznie silniejsze niż obecnie o tym sądzimy. Szerokie były kontakty między panującymi i kościołami, kwitł wzajemny handel. Świadczy o tym wiele dokumentów, a także obszerny materiał zawarty w innych legendach węgierskich, które w XIII—XIV wieku były spisane w Polsce: teksty te nie są jakimiś kopiami tekstów węgierskich, lecz są oryginalne i przez to bardzo ciekawe, gdyż były przerabiane i wzbogacane. W owych czasach mamy także tak ciekawą zjawiską jak wędrówki chłopów z Węgier do Polski. Wiadomo również, że polscy chłopcy przesiadali się na Węgry. Powstawały w ten sposób na ziemi węgierskiej całe polskie wsie. Do dziś zachowało się niemało nazw wsi, w których źródłosłów „Lengyel” — Polak, wyraźnie wskazuje na narodowość założycieli.

— Z XII, XIII, XIV wieku — ciągnie dalej prof. Koracsanyi — mamy dokumenty, które wyraźnie świadczą o tym, że oba nasze kraje występowały wówczas razem przeciwko niemieckiemu „Drang nach Osten”. Nie było między nami prawie żadnych starć — jest to tym ciekawsze, że mieliśmy wspólną granicę, a jak historia dowodzi, w stosunkach między sąsiadami bywało bardzo różnie... W ogóle rozwój historyczny obu naszych państw szedł w tym samym kierunku i prawie równocześnie występowały — na Węgrzech i w Polsce — te same zjawiska, np. rozdrobnienie dzielnicowe, upadek państwa, rozkwit...

— Czy na Węgrzech ukazali się ostatnio jakieś inne prace historyków na tematy polsko-węgierskie?

— Spośród tych prac, z którymi się zapoznałem, wymienię opracowanie Endre Kovácsa z Instytutu Historii Węgierskiej Akademii Nauk o stosunkach polsko-węgierskich w okresie lat 1831—1848. Prof. Kovács jest także autorem cennej pracy o gen. Bemie. Również w Budapeszcie nad tematami polsko-węgierskimi pracuje prof. József Perenyi. Wiem także, że nad wzajemnymi stosunkami w dobie nowożytnej pracuje młoda asystentka uniwersytetu w Buda-

peszcie — Katarzyna Szokolay, która studiowała w Polsce, o ile się nie mylę w Warszawie i Krakowie.

— Wydaje się, panie profesorze, że w archiwum i bibliotekach, zarówno w Polsce jak i na Węgrzech, znajduje się jeszcze wiele nieopracowanych, a nawet nieznanych, dokumentów o naszych wzajemnych stosunkach w przeszłości. Czy pan profesor nie uważa, że wspólnie...

— Otóż to! — wpada mi w słowo prof. Koracsanyi. — Historycy wspólnymi siłami mogliby zrobić ogromnie dużo. Czy nie warto byłoby wziąć przykładu ze współpracy węgiersko-czechosłowackiej: akademie nauk obu krajów wymieniły grupy historyków, którzy przez dłuższy czas pracowali w Budapeszcie, Bratysławie i Pradze, wyszukując tam i spisując różne dokumenty. Rezultaty były bardzo bogate i ciekawe. Warto chyba o takiej formie pomyśleć.

Rozmawiał:

Jerzy Zajączkowski

Eliasz wcale nie biblijny

Poznańsko-zakopiańskie koneksje

Podobno według obliczeń statystyków, co ósmy mieszkaniec Polski odwiedza każdego roku Zakopane i Tatry. Ten tak licznie uczęszczany zakątek kraju nie ma jednak dotychczas swojej obszernej monografii. Zakopane nie posiada nawet związanej, krótkiej historii swego rozwoju. Nie znalazł się dotychczas nikt, kto by rozsiadł po czasopiśmie i broszurach materiały, dotyczące południowej skalnej granicy państwa, zebrał w całość i pokazał jak pionierską była praca pierwszych odkrywców Zakopanego.

W czasach niewoli nie mieliśmy morza, gdzie by rozlatała się inicjatywa i energia Polaków. Od Bałtyku wiał wrogi wiatr. Jedynie na południu kraju w Pieninach, Beskidach, na Podhalu i w Tatrach można było oddychać pełną pierśią. Za grzbietem Tatr sasiadowali przyjaźni nam Słowacy.

Nie też dziwnego, że Wincenty Pol śpiewał: „W góry w góry miły bracie, tam swo boda czeka na ciebie”. I coraz częściej za czasów austriackich, gdy jeszcze nie było kołaj z Chabówki do Zakopanego, a o samochodach nie śnić no, furki góralskie wiozły „ceprów” do Zakopanego. Były to czasy, kiedy w zakopiańskim kościółku drewnianym jego pierwszy proboszcz ks. Stolarczyk po łapach bił górali, zapalających fajkę od świece na ołtarzu i psioczył im góralską mową na kazaniu.

Wśród tych, którzy wybrali się w połowie XIX wieku do Zakopanego, mimo trudów podróży, był wybitny malarz polski, literat, ilustrator, rzeźbiarz Matejki i Grottgera — Walery Eliasza Radzikowski (1840—1905). Kto dziś wie o tym artyście — malarzu i pisarzu, którego obrazy rozpościerały szeroko w oledrukach znajdowały się w każdym domu w Małopolsce i uczyły miłości ojczyzny? Najbardziej z nich znane — to „Obrońca Krakowa przeciw Szwedom”, „Wjazd Sobieskiego do ocalałego Wiednia”, „Śmierć Żółkiewskiego”, „Matka Jagiellonów”, „Obóz powstańców w 1863 roku”. Gdy sława Matejki przyćmiła współczesnych malarzy historycznych, Walery Eliasza (bo tak się stało podpisywał) przez rzucił się na malarstwo rodzajowe i krajoznawcze, a spec-



W Dolinie Strazyskiej

Fot. — H. Dera

Morskim Okiem zwany był dzisiejszy Czarny Staw, leżący powyżej tego jeziora. Niemalą zasługę w tej walce o Morskie Oko ma Walery Eliasza Radzikowski, który broił dzielnie gromadząc materiały historyczne praw naszych do tego jeziora.

Albo inny szczegół: ktoś z podróżników i taterników nie zna na drodze do Morskiego Oka Wodogrzmotów Mickiewicza. Niewielu wie jednak że nazwę swą ten wspaniały wodospad tatrzański zawdzięcza Waleremu Eliaszowi, który zanim droga została do Morskiego Oka wybita, dotarł tam przez gąszcz kosodrzewiny, a było to w 1890 roku, w którym sprowadzono w lipcu zwłoki Adama Mickiewicza z Paryża do Krakowa i złożono w podziemi Katedry Wawelskiej. Ku uczczeniu tego wydarzenia w życiu narodu — Eliasza nadał wodospadowi nazwę Wodogrzmotów Mickiewicza.

Ścisłe z tym wiąże się inna sprawa, a mianowicie nawiązanie szczytów i dolin tatrzańskich. Nie są one bynajmniej tak stare, jakby nam mogło się wydać. Najstarsze są nazwy wielkich dolin, jak Kościeliska, Chochołowska, ze względu na ich użyteczność dla człowieka. Stare są również nazwania głównych szczytów tatrzańskich po stronie polskiej. Ale wielu mniejszym szczytom nadano nazwę dopiero w drugiej połowie XIX wieku, gdy rozwinęło się taternictwo. Jednym z pierwszych taterników był właśnie Walery Eliasza, który wraz z dr. Tytusem Chałubińskim do tatr w 1875 roku na Gerlach i Chałubińskim, przybyłemu świeżo z Warszawy, był po Tatrach przewodnikiem. Ku jego czci za pracę położoną nad rozwojem wsi Zakopane, która skupiała się wówczas wzdłuż Starej Polany i Drogi Kościeliskiej, Walery Eliasza nazwał odkrytą przez siebie przełęcz Wrotami Chałubińskiego.

„Przewodnik po Tatrach i Pieninach” Walerego Eliasza był jedynym wadem mecum w połowie XIX wieku, zanim nie rozwinął go i nie wzbogacił nowy przewodnik Tadeu-

sza Zwolińskiego, po którym przyszły przewodniki Janusza Chmielowskiego, Komornickiego, Mieczysława Świerza i Orłowskiego. Waleremu Eliaszowi nie znane było jeszcze taternictwo sportowe. Impuls badawczy skierował go ku wszechstronnemu poznaniu Tatr. Nie był zdobywcą szczytów dla własnej ambicji. Jeżeli do nich docierał, to z myślą zapoznania z nim polskiego społeczeństwa. Każda karta jego przewodnika przepojona jest myślą rozwinięcia polskiego taternictwa.

Z okazji 120-letniej rocznicy urodzin Walerego Eliasza, przypadającej w 1960 r. Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa, ku uczczeniu jego zasług, jedną z ulic krakowskich przemianowało na ulicę Eliasza.

Franciszek Hryniewicz

Wyspa zdrowia i szczęścia

Pomiędzy Buenos Aires a Capstadtem znajduje się w południowej części Atlantyku mały archipelag, którego główną wyspą TRISTAN DA CUNHA, wygasły wulkan, wznosi się do 2329 m ponad poziomem morza. Żyje na niej w największym osamotnieniu społeczność licząca 250 ludzi, słynie ona z tego, iż od półtora wieku nikt tam nie choruje. Zaburzenia w krążeniu krwi, choroby serca, rak i gruźlica znane są mieszkańcom Tristan da Cunha jedynie z nazwy. Wyspiarze umierają tylko na skutek zgrzybiałości, lub bardzo rzadkich nieszczęśliwych wypadków. Dzieci są zdrowe, 80-letni starcy mają ciśnienie krwi młodzieńców i znoszą z łatwością nawet ciężkie prace fizyczne.

Przyczyną tego bezprzykładnego dobrego stanu zdrowia uczeni dopatrują się w ich naturalnym odżywianiu się. Ziemia ich wyspy jest mało urodzajna; jedynymi plonami jej — to mała ilość kartofli, jabłoni i brzoskwinie. Za to ocean daje niewyczerpalne bogactwo ryb, stanowiących główne pożywienie mieszkańców wyspy i jednocześnie źródło ich zdrowia. (KC)

Archeologia wobec Millenium

W pracach Millenium, w dziedzinie badań nad początkami Państwa Polskiego, poważne zadania przypadły archeologom. Po to, byśmy mogli poznać gospodarkę naszych przodków, ich wkład w rozwój kultury światowej w ogóle, a europejskiej w szczególności — potrzebne są dalsze badania wykopaliskowe.

Wciąż jeszcze niewiele wiemy o okresie między VI a połową X wieku naszej ery na naszych ziemiach. Skromny jest zasób naszej wiedzy w zakresie zagadnień społecznych, wierzeń pogańskich, słabo orientujemy się w rozwoju wsi wczesnopolskiej, aczkolwiek mieszkańcy wsi stanowili przez wazającą większość ówczesnego społeczeństwa. Trzeba także nadrobić luki w naszej wiedzy o wczesnopolskiej przeszłości Ziemi Zachodnich.

Potrzebne więc są badania kompleksowe na odpowiednio dobranych stanowiskach wykopaliskowych. Archeologowie polscy mają już w tym zakresie poważne doświadczenia. Sprawa im natomiast trudności brak należytego wyposażenia technicznego, gdyż szczerą płosć posiadanych środków zmusza do koncentracji wysiłku badawczego na pewnej tylko części wytypowanych punktów wykopaliskowych.

(API)

PŁOMIEŃ NIEGASNĄCY

Płomienne serca, serca młode, stają u progu nowego roku szkolnego. Myślę jednak, że każdy rok szkolny jest „nowy” nie tylko dla młodzieży. Wszyscyśmy przecież do „budów” chadzali, jedni przed 10 laty, inni przed 50-ciu — rozmaicie. Życie nie zaczyna się po czterdziestce, po czterdziestce, powiedział pewien mędrzec, człowiek jakoby parzywieje. I znowu opinia naciągająca — parszywienie grozi tym, co młodość mieli być jaką, pozbawioną ideałów.

Lubię gawędzić ze „starszymi panami”. Posarkują na czasy dzisiejsze, bywają niekiedy nieco zdumieni z tego czy innego powodu. Ale niech tylko sięgną wspomnień, to zaraz młodzieją, stają się z pełnią „dzisiejsi”; za swych szczeniących lat całkiem tak samo szokowali swoje starsze pokolenie. Nadto na pewno nie nudzili się...

No cóż! Sytuacja była trudniejsza, władze pruskie z roku na rok nasilały ucisk i po mnażały trudności. Stąd też w atmosferze odporu, walki, aktywności młodzieży była bar dziej napięta. Jakże charakterystyczne są np. wspomnienia starego „Marynkarza”, Stanisława Szulca, który nieopatrznie mi się z niejednego zwierzył, a co warto opowiedzieć. Dziś np. nie do pomyslenia byłoby spory o pisownię nazwiska, Ale o tym za chwili.

Był w „Marynce” profesor dr Fritz Pfuhl. Wszyscy profesorowie tej czcigodnej uczelni byli Niemcami; jedynym Polakiem wśród nich był ks. profesor Julian Janicki. Pfuhl był niewątpliwie dobrym znawcą przyrody Wielkopolski, był niezłym botanikiem. Obok ziół zbierał jednak też dziwa ctwa i hojnie nimi obdarzał swych wychowanków. I tak np. w zeszycie botanicznym każdy uczeń musiał mieć utkniete dwie szpilki, absolutnie niezbędne przy studium nad światem roślin. Bez nich botanika nie szła do głowy, one katalizowały zielarską mądrość. Takie przynajmniej było święte przekonanie pana profesora. Wpinało się je w pierwszą kartkę zeszytu, w ściśle określonym miejscu i w umownym kierunku — białą pauprowi, któryby przeprosił nie był posłuszny, gdyby brakło choć jednej szpilki. Od tego w ogóle zależały losy cesarstwa i jego nauki.

Czasami, acz niechętnie, uczył innych przedmiotów, zwłaszcza matematyki i geometrii. Znał przedmiot ale brak mu było rutyny, zależny był w dużym stopniu od swego notesa. Miewał kłopoty z co wybitniejszymi uczniami, którzy najskwapliwiej w świecie upierali się rozwiązywać zadania według schematów nie utrwalonych w profesor skim notatniku. Katedra jed-

nak była zawsze konsekwentna i uznawała tylko jeden wariant rozwiązania. Wszelka w tym względzie uczniowska indywidualność była najoczywiściej z góry przegrana. Wy nik: dwójka z zakreślasem!

Najparadniejszym jednak hobby dr. Pfuhla było pisanie znaku dodawania. Tego niewinnego zdawało by się „krzyżyka”. Nie raz, nie dwa, rozgrywała się taka scenka: Przy tablicy delikwent pisze pod dyktando dajmy na to — 100 + 200. Ledwo wykaligrafował cyferki, a już z kate-

Jubileuszowe (25) WĘDRÓWKI PO STARYM POZNANIU

dry, jak grom, pada: „Złe!” Zraz też powołany zostaje przed tablicę następny kandydat na Pitagorasa, który ma wyjaśnić dlaczego „złe”. Oba baranki gapią się w tablicę — i nic. To samo trzeci, czwarty... wszyscy widzą tylko 100 + 200. Wszyscy o trzymują pałę. Kiedy już tak pół klasy zastało trupem intelektualnym przedpole wyniosłej katedry, Herr Oberlehrer wyjaśnia, że pierwszy delikwent napisał znak „plus” nieprawidłowo! Nakreślił najpierw kreskę pionową, potem poziomą, a ma być odwrotnie. A więc: dwójka!

Jednak nie tylko takimi sprawami zajmował się skrupulatny profesor-kaligraf. Właśnie młody Stanisław Szulc musiał pewnego razu stoczyć poważną potyczkę w obronie polskiej pisowni swe go nazwiska. Był to już szkolny tylko epizod, na marginesie długoletnich procesów. Rodzina Szulców broniła się całym dostępnym aparatem dokumentów i metryk. Przegrała ostatecznie, bo w państwie „bojaźni bożej” takich spraw się nie wygrywało. Wyrok są

SZMERY ŚWIATA

„TYLKO DLA SENATORÓW”

7.500 dolarów kosztować będzie zainstalowanie przy windach w Senacie USA guzików z napisem „Tylko dla senatorów”. Kiedy senator przycisnie ten guzik, winda — gdziekolwiek by się znajdowała i niezależnie od ładunku, jaki wiezie — stawi się do jego dyspozycji, by przede wszystkim zawieźć go tam, gdzie sobie życzy.

Do tej pory obsługa dwóch innych wind na terenie Senatu obowiązana była dawać pierwszeństwo senatorom. Widocznie uznano jednak, że należy im się więcej.

DOBRA FORMUŁA

Izba Handlowa USA roz pisała ankietę wśród studentów 86 uniwersytetów. Miała ona pokazać, jaka formuła, określająca jeden z systemów ekonomicznych najbardziej przypada im do gustu. Przeszło 50 proc. studentów opowiedziało się za formułą: „Od każdego według jego zdolności, każdemu według jego potrzeb”!

BŁYSKAWICZNA DECYZJA

W roku 1952 Pentagon postanowił zmienić siedzibę szkoły wojskowej dla oficerów sztabu generalnego, mieszczącej się od dawna w siedmiu prowizorycznych pomieszczeniach w Norfolk. W związku z tym utworzono kilka komitetów, z których każdy miał przeprowadzić inspekcję w kilkudziesięciu z proponowanych miejscowości.

Po 7 latach, gdy ogłoszono rezultat przeprowadzonych inspekcji, zapadł następny wniosek: „Miej scem najbardziej odpowiadającym wymaganiom Szkoły Wojskowej jest... siedziba w Norfolk”.

(jr — Apł)

dowy, nakazujący używania niemieckiej pisowni nazwiska prasa niemiecka szeroko komentowała i nadała mu rangę wygranej bitwy.

Tak więc klimat walki wychodził zawsze na wierzch, nawet na lekcji botaniki. Nie kiedy były i akcenty patetyczne, gdy obchodzono rocznice powstań czy manifestowano przed pomnikiem Mickiewicza. Kiedy indziej manifestował się odpór nocną manifestacją przeciw kolaborującej arystokracji a towarzyszył jej dźwięk wybijanych szyb „Bazaru”.

Bywały też okoliczności smutne i wymagające dyskre cji. Któregoś roku zmarł mały Henio Kuczyński, serdecznie lubiany przez kolegów. Ścisłejszy komitet koleżeński zdecydował zakupić wspólnie wieniec z białoczerwonymi wstęgami i polskimi napisami. Zebrano składkę, omijając dy skretnie niemieckich kolegów — było ich zresztą w klasie niewielu.

Wiadomość o zamiarze jakos doszła do dyrekcji. Postanowiono wybaczyć uczniom, nękanie ich ustawicznymi pytaniami; odpowiadali wymijająco. Wychowawca zdecydował, że wieniec musi być, że szarfy mogą być białe. A napis? Oczywiście nie może być polski, nie może też być łaciński, bo „go nikt nie zrozumie”. Może więc być tylko niemiecki!

W klasie werdykt przyjęto milczeniem, ale decyzja stanęła — tak nie będzie! Będzie wieniec, wstęgi białoczerwone i polskie napisy. Wiedzia no też już jak się to załatwi. I gdy dnia następnego profesor zagadnął o ostateczną decyzję, Stasio Szulc w imię niu klasy wyjaśnił:

— Wieniec będzie.
— A szarfy? — docieka profesor.

— Wieniec będzie bez szarf.
— Co takiego? Proszę w tej chwili pójść do dyrektora i powtórzcie mu to!

Dyrektora spotkał na półpiętrze, na schodach. Schodził w towarzystwie prof. Klinkego, swego przyszłego zięcia. Następuje meldunek u cznia i zalega cisza. Dyrektor jest najwyraźniej zaskoczony relacją, nie znajduje odpowiedzi. Zakłopotany zwraca się do swego towarzysza:

— Panie Profesorze, czy to możliwe?

Klinge spojrzął na swego in spe teścia z nad okularów i krótko zauważył:

— Właściwie tak.

— A więc dobrze — zdecydował „szef”.

W kondukcje żałobnym uczniowie nieśli wieniec bez szarf. Białoczerwone wstęgi z polskim napisem delegacja kolegów Zmarłego wręczyła jego matce przed pogrzebem.

Wszystko to działo się przed pół wiekiem. Zmieniły się czasy, zmienili się ludzie. Uczniowskie troski i radości pozostały jednak. Co roku sta ją one przed młodym ludkiem od nowa i wabią ku no wej przygodzie. Z tym, że wzrasta on we własnej szkole i nikt orletem skrzydeł nie podcina.

Wiktor Tutejszy



Karol Stromenger, znany popularyzator muzyki w ogóle, a muzyki operowej w szczególności jest autorem od dawna oczekiwanego „PRZEWODNIKA OPEROWEGO”, omawiającego libretta 200 oper. Książka Stromengera pozostając informatorem o treści oper, podaje skrótoowo zarys życia i twórczości 83 kompozytorów. Nie poprzestając na klasykach, pamięta o twórcach nowoczesnych, mało lub zupełnie nieznanach. Po streszczeniu libretta, następują informacje historyczne, czasami anegdoty. W tych partiach docho dzi do głosu wyjątkowy erudyta i miłośnik muzyki. znany melomanom z audycji radiowych.

Autor wciąga czytelnika w zasadnicze sprawy, leżące u podłoża tego gatunku muzycznego. Przewodnik opowiada o tym, jak w ciągu kilkuletniego istnienia zmieniały się style i środki wyrazu, jak już w momencie narodzin ścierały się podstawowe sprzeczności: dramatu i muzyki, śpiewu i orkiestry, partytury i sceny, sceny i widowiska. O tym, jak zmieniał się system estetyczny w zależności od epoki.

Od strony zewnętrznej pociąga zgrabny, niemal kieszonkowy format, oprawny w trwałe płótno.

Mimo stosunkowo wysokiej ceny książka stanowi cenny nabytek dla każdej informacyjnej bibliote ki.

Stromenger Karol „PRZEWODNIK OPEROWY” W-wa 1959. Iskry. S. 621. Cena zł 45.

U. G.



Ślady na wydymia

Fot. (2) — H. Dera

Wieżienne skrzypce Guarneriego

Kiedy w 1737 r. chowano w Cremonie Stradivariusa, za trumną kroczył szczupły mężczyzna. Nazywał się Bartolomeusz Józef Guarneri. Miał lat 39, był zatem w kwiecie wieku; ubiór jego pozwalał wnioskować raczej o ubóstwie niż o zamożności. A jednak nie był to byle kto, ów Guarneri — z przydomkiem „del Gesu”. Jeśli chodzi o patrycjuszowskie pochodzenie, rodzina jego mogła śmiało stanąć obok Stradivariusa. Sam zaś Guarneri był uczniem wielkiego mistrza. Co się zaś tyczyło sztuki budowania skrzypiec — to już ojciec i dziadek jego uprawiali tę sztukę z wielką umiętnością, a wuj Piotr Jan Guarneri znany był nie tylko z tego zawodu, lecz również jako świetny muzyk na dworze księcia Gonzagi. Kto mógł grać na skrzypcach w książęcej orkiestrze, musiał posiadać nie lada kulturę muzyczną, to jest rzeczą pewną. W Mantui bowiem żyła jeszcze ciągle tradycja, związana z nazwiskiem Kłaudiusza Monteverdiego, najświetniejszego wówczas kompozytora, który zmarł w roku 1643.

Dziadek Andrzej Guarneri mając niespełna 10 lat, pracował już w warsztacie Mikołaja Amatiego; a jeśli nawet przez całe życie stał w cieniu Antoniego Stradivariusa — nie odczuwał tego boleśnie. Również ojciec „del Gesu” Józef, nie biadał nad tym, że jego sąsiad z placu San Domenico ma sławniejsze nazwisko i większe uznanie. Lecz Józef Bartolomeusz nie potrafił pogodzić się z tym: bolało go każde zamówienie z dalekich krajów, kierowane do Stradivariusa. W takie dni wypadał z dion garnek z lakierem a „del Gesu” uciekał z war-

sztatu i rzucał liry szynkarzowi; bardziej podobały mu się wówczas zawo dzenia pijaków, aniżeli najsu btelniej dźwięcząca struna skrzypiec z jaworu lub jodły. „Byłeś niemądry w takich chwilach „del Gesu”! Twoje skrzypce są lepsze niż sobie zdajesz sprawę. Twoja etykieta „JHS” wywalczy sobie pierwszorzędne miejsce, jeżeli ty ko będziesz pracować poważnie i rozumnie. Już od dawna nie jesteś „liutaro” — lutnikiem, lecz „violino” — skrzypkarzem, który buduje jedynie skrzypce. Niechaj ta twoja specjalność stanie się twoją

silną stroną, Józefie Guarneri!”

„Jemu już nikt i nic nie pomoże” mawiali mieszkańcy Cremony. Antoni nie żył już, a Józef ciągle wyrzucał pieniądze na pijatyki.

I pewnego pięknego dnia „skończył się”. W 1740 roku musiał sprzedać dom w Cremonie, „casa Guarneri”, który przez trzy generacje był siedzibą i warsztatem rodziny. Nadto zamknięto go do więzienia z powodu głupich kawałów, inspirowanych nie przez „violino”, lecz przez „vi no”.

„Szkoda tego Józefa” mówiono w Cremonie „zaprzepaścił, zniszczył się”. Opowiadano o nim dziwne rzeczy. Było w tym sporo fantazji. Tak chyba powstała legenda dotycząca pobytu w więzieniu.

Zakochała się ponoć w milczącym i zadumany więźniu córka dozorczy i zapytała go pewnego razu, czy nie mogłaby w jakiś sposób pomóc mu i ulżyć jego doli. Poprosił ją wówczas o drzewo jaworowe i lakier, którego pochodzenia nigdy nie zdradziła. Miała również wystarczyć do narzędzia; a „del Gesu” zbudował w więzieniu wiele skrzypiec, które zakochana córka dozorczy sprze dawała po bardzo niskiej cenie. Były to owe znane i sławne skrzypce, jako „skrzypce więziennicze” Guarneriego.

Podobnie jak dokoła Józefa Guarneriego, snuły się również podania wokół ucznia Stradivariusa, Aleksandra Gagliano, który pochodził z Neapolu. Był założycielem wielkiej rodziny skrzypkarzy, wspaniale rozwijającej się przez okres jednego stulecia. Aleksander Gagliano — jak opowiadał sobie lud

— był synem markiza. Miał na rzeczona Neapolitankę o niepospolitej urodzie. Nie był on jednak jedynym, który zachwycał się jej urodą. Aleksander popadł w rozpacz i postanowił zamordować rywala. Zamiast nie udać się, policja ujęła sprawcę w swe ręce. Aleksander uciekł jednak i ukrywał się długi czas w lesie, gdzie z traku innego zajęcia, wycinał z rozmaitych pni drzew instrumenty, w rodzaju skrzypiec, które widział kiedyś w jakiejś orkiestrze. I, o dziwo — udało mu się to świetnie! Kiedy zapomniano już o smutnej historii Aleksandra, Gagliano powrócił do Neapolu i założył warsztat instrumentów. Czy ożenił się z swoją ukochaną — nie wiadomo.

Stradivariusa i Guarneriego to dwa nazwiska, które historia skrzypiec wymieniać będzie zawsze obok siebie. Józef „del Gesu” pozostawił przeszło 150 sławnych skrzypiec. Nie kto inny, jak Paganini posiadał instrument Guarneriego, na którym wykonywał swe sławne brawurowe sztuczki. Nazywał te skrzypce „armata”, gdyż miały maszyną budowę, a ton był silny, metaliczny.

Rudolf Hudyma

Sopockie jachty



W KRAINIE 44 WYSP MORSKICH

NA PEWNO NIE JEST BŁĘDNE TWIERDZENIE, IŻ OGÓLNE WIADOMOŚCI SPOŁECZEŃSTWA O REJONIE UJŚCIA ODRY SĄ BARDZO SKROMNE. W ZASADZIE WSZYSTKIM WIADOMO, IŻ SA TAM DWIE WYSPY MORSKIE, Z KTÓRYCH JEDNA W CAŁOŚCI, DRUGA ZAŚ W CZĘŚCI NALEŻY DO POLSKI. POLSKĄ WYSPĄ JEST WOLIN ZE ZNANYM KAPIELISKIEM W MIEDZYDZROJACH. NATOMIAST MAŁO KOMU WIADOMO, ŻE...

...u ujścia Odry posiadamy aż 44 wyspy, z których 2 są zamieszkałe, pozostałe zaś — to ostrowy tak zwanej wstecznej delty rzeki Sławy, usypa- ne przez prądy morskie i rzecz- ne tej rzeki, a pokryte rozleg- łymi łąkami i rzadko rosną- cymi drzewami. Na tych wy- spach znajdują się liczne miej- sca wylęgowe ptactwa.

Spośród 44 polskich wysp **NAJWIĘKSZĄ JEST WOLIN** o około 250 km² powierzchni. Krajobraz wyspy jest wyjąt- kowo uroczy i urozmaicony.

Na nizinach na wschód od parku rozciąga się tak zwana „Kraina 9 Jezior”, czyli poje- zierze warnowsko-kołczewskie, znane z uroczych jezior, po których pływają łabędzie. Nad jeziorami tymi znajdują się liczne słowiańskie grodziska.

Drugą zamieszkałą wyspą jest

CHRZĄSZCZEWSKA WYSPA POD KAMIENIEM,

ulożowały się tu dwie wioski.

Na pozostałych 42 wyspach żyje tylko ptactwo. Kiedyś — przed 10 wiekami — na jed- nej wysepce, na Gardzkiej Kępie pod Polchowem, mie- szkali Słowianie. Do naszych czasów zachowały się tam wa- ly dawnego grodu. Od czasu wojen duńskich, to jest końca

XII wieku, Gardzka Kępa jest jednakże nie zamieszkała.

Jest wprawdzie jeszcze jed- na zamieszkała wyspa — Kar- sibór, ale naukowcy obszaru tego za wyspę nie uznają. Karsibór bowiem awansował na wyspę około 100 lat temu, kiedy odcięto go sztucznym kanałem od macierzystej wy- spy Uznam.

Wreszcie u ujścia Odry do Zalewu Szczecińskiego znaj- duje się niewielka wysepka Chełminek.

MIESZKA NA NIEJ LATARNIK Z ŻONĄ.

I Chełminek nie jest przez geografów uznawany za wy- spę, ponieważ utworzony zo- stał sztucznie z mułu Odry i Zalewu Szczecińskiego.

Wyspy u ujścia Odry, to prawdziwe

KRÓLESTWO PTAKÓW.

Ornitologowie naliczyli ich tu około 130 gatunków, od orłów począwszy, aż po różne ga- tunki mew — najpopularniej- szych ptaków wybrzeża.

Orły morskie — birkuty bieliki — założyły tu kilka gniazd i — jak stwierdzają leśnicy — specjalnie nie uni- kają człowieka. Obok orłów spotyka się potężne kormora- ny nurkujące na głębokość kil- ku metrów, rybołowy, sokoły wędrownie i sokoły-kobuzy, orły krzykliwe, czarne kanie.

Nad łąkami i w lasach Wo- lińskiego Parku Narodowego spotyka się również

LICZNE OKAZY RZADKICH ROŚLIN

i wiele — ponoć kilkaset — gatunków motyli. Orły podob- no potrafią nurkować, ale wo- ła „iść na gotowe” i dlatego zdarza się, że orzeł ląduje na łodzi rybaka i porywa mu ry- bę z pokładu. Rybacy prze- prowadzający połowy na wo- dach Zalewu Szczecińskiego, znają już te zwyczaje orłów i nie płoszą ich, wierząc, iż nakarmienie orla przyniesie im szczęście.

Kraina 44 polskich wysp — to

NAJWSPANIĄSZY W POLSCE REJON TURYSTYKI WODNEJ.

Toteż wodniacy — na żagłow- kach i kajakach — coraz lic- niej wybierają się w te uro- cze, a zarazem pierwotne stro- ny, by poznać obszar, który na przestrzeni ostatnich 10 wieków podobno bardzo nie- wiele się zmienił. (ZAP)

Czesław Piskorski

Czarna jak piekło, gorąca jak miłość

Pod nazwą kopi znana była w Indonezji; Japoń- czycy nazywali ją koki. Natomiast mniej prozaicz- ni Egipcjanie mawiali, że musi być: „Czarna jak piekło, gorąca jak miłość i słodka jak grzech”. Przy- tym wszędzie ubiegano się wzajemnie o ten odwar z wysuszonych i zmielonych ziarn afrykańskiego krzewu wielkości pestek czereśni, który przyrod- nicy ochrzczili mianem „coffea arabica”.

Niezależnie od zawrotnej kariery, jaką zrobiła kawa na całym niemal świecie — krąży wokół niej mnóstwo ciekawych legend i historyjek dotyczą- cych jej „odkrycia”. Najbar- dziej dowcipną (a równocześ- nie najmniej znaną) hipotezą jest ta, według której pierw- szymi „znawcami i smakosza- mi” kawy były... kozy, zwykle domowe kozy! Dzięki nim bo- wiem kilku biednych abisyń- skich pasterzy poznało boski smak „czarnego nektaru” i e- fekt jego podniecającego dzia- łania, obserwując wesołe i ży- we skoki jakie wyczyniały ich czworonogi po zjedzeniu owo- ców kawowego drzewa...

Natomiast historia notuje, że już gońcy pierwszych królów abisyńskich żuli ziarenka kawy, które lepiej pozwalały poko- nać zmęczenie podczas dłu- gich, często, przez nich prze- mierzanych tras. Wzmianka powyższa dotyczy wieku XI. Dowiadujemy się z niej rów- nież, że już w tym okresie ka- wa była uprawiana w pewnych okolicach Arabii. Na początku XV wieku dotarła do Jemenu. Przywiózł ją z Arabii pewien Mufti z Adenu nazwiskiem Dżemal Edin i propagował wśród derwiszów w tym celu, aby im ułatwić czuwanie pod- czas długich modlitw.

Picie kawy rozpowszechni- ło się bardzo szybko, chociaż nowy ten napój znajdował wielu przeciwników. Jednym z pierwszych zagorzałych jej prześladowców był król Mekki — Kair Bey. Zakazał on wy- szynku tego napoju oraz po- lecił zniszczyć wszystkie skła- dy i magazyny kawy, jakie znajdowały się na podległym mu terytorium. Lecz już jego następca był wprost przeciw- nego zdania. A w niecałe 12 lat później sułtan turecki — wielki Soliman — popijał swo- ją pachnącą mokkę w kon- stantynopolińskim seraju.

Kiedy kawa, przez starożyt- nych Rzymian „Arabia felix” nazywana, do nas dotarła — tego dokładnie nie wiemy. Z całą jednak pewnością moż-emy stwierdzić, że zwycięski swój pochod poprzez Europę rozpoczyna ona w początkach XVII wieku, powoli opanowu- jąc cały kontynent. Niemalą zaślugę w jej rozpowszechnie- niu posiadają też Polacy. Prze- ciż nie kto inny, jak właśnie Kolszycy — jeden z uczestni-

ków wiedeńskiej wyprawy So- bieskiego — otworzył pierwszą w Wiedniu kawiarnię... Pro- sperowała ona długie lata dzie- ki ogromnej ilości zapasów ka- wy, znalezionych w porzuczo- nym przez Turków obozie. Do- piero konkurencja nowo otwar- tego, włoskiego baru kawowe- go „Espresso”, spowodowała jej upadek. Gwoli sprawie- dliwości trzeba jednak dodać, że kupcy weneccy, dzięki swym rozległym kontaktom handlowym ze Wschodem, du- żo wcześniej przywozili kawę do południowej Europy.

Nie wszędzie odnoszono się do tego rodzaju novum, jakie wówczas stanowiła kawa, z równym entuzjazmem, czy też z milczącą aprobatą. Wzorem Afryki i tutaj znaleźli się za- gorzali jej przeciwnicy, z gro- na których najpoważniejszym był król pruski — Fryderyk II. Uważał on — tak jak niegdyś namiestnik Mekki — picie ka- wy przez swych poddanych za rzecz szkodliwą i w najwyż- szym stopniu naganną. Przede- wszystkim jednak obawiał się, że ta przywara może przynieść znaczny uszczerbek świetnie prosperującym browarom i za- hamować potok złota płynący



Widok kawiarni w Istambule według sztuchu z roku 1850.

do bezdennej, królewskiej sak- wy. Dlatego też palenie kawy zostało ustawowo wzbronione, a wobec tych wszystkich, któ- rzy oddawali się tym występ- kom, stosowano najsurowsze kary. Pieczę nad wykonaniem ustawy sprawowali specjalnie powołani przez króla tzw. „tro- piciele kawy” — często wyszy- dzani i wyprowadzani w pole przez amatorów nowego trun- ku.

Natomiast jego przeciwnicy puszczali w obieg nieprawdo- podobne wieści o szkodliwym działaniu diabelskiego i czar- nego jak smoła napoju. Posą-

dzano kawę o to, że truje lu- dzi i skraca im życie. W ro- ku 1674 londyńskie damy do towarzystwa podniosły ener- giczny protest przeciwko na- łogowemu piciu kawy przez mężczyzn uważając, że: „ka- wa odbiera należne im mę- skie siły, czyniąc tych męż- czyzn chudych i suchych jak pustynia”. Na tle tej nagonki znamienne jest oświadczenie znanego francuskiego bajkopi- sarza Jean de Lafontaine'a, który pisał: „Jednak kawa mu- si być wolno działającą tru- cizną, skoro nie wykończyła mnie jeszcze pomimo mych 80- lat”.

Król saski August Mocny również nie wierzył w ubocz- ny skutek działania kawy, któ- rego tak obawiały się londyń- skie damy. Podniósł więc jej wyszynk do godności królew- skiego przywileju, będąc bar- dzo hojnym w wydawaniu ka- wowych koncesji.

Za jego to rządów Drezno stało się stolicą kawiarni, a Jan Sebastian Bach specja- lnie dla Lipska napisał swoją „Kawową kantatę”.

O tym jak wyglądały ów- czesne kawiarnie lipskie, do- wiadujemy się z zapisów kronikarskich w których m. in. czytamy, że: „ujmujące dziewczynki, które tutaj obec- ny ród męski obsługiwały i wszelkie możliwe usługi z o- chotą mu świadczyły, były ko- bietami podejrzanymi o roz-

dukcję, nakłaniając do węd- rowki setki tysięcy ludzi.

Stworzyła kilkanaście bajecz- nych fortun i zrujnowała e- gzystencję tysięcy ludzi. Przy- czyniła się do powstania no- wych miast — tych kwitną- cych i tych zapadających w zapomnienie. I ten stan rze- czy w wielu wypadkach trwa do dnia dzisiejszego, tym bar- dziej, że kawa jest tam czymś więcej, niż tylko zwykłym ar- tykułem spożywczym. Stanowi ona przecież podstawę gospo- darki Brazylii, od której USA kupują 3/4 całej jej produkcji. Toteż nic dziwnego, że spo- śród ambasadorów akredyto- wanych w Rio de Janeiro, sto- licy stanów Brazylii, najwię- cej ma do powiedzenia ambasa- dor Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i że Bra- zylia jest ekonomicznie pod- porządkowana największemu kupcowi świata (USA) — tak- jak i szereg innych państw środkowo — i południowo- amerykańskich.

W roku 1962 stanie pierwsza elektrownia jądrowa w Holan- dii. Podobną elektrownię uru- chomi w przeciągu 5 lat Au- stria. — Obie o mocy 150 MW. (API)

W roku 1962 stanie pierwsza elektrownia jądrowa w Holan- dii. Podobną elektrownię uru- chomi w przeciągu 5 lat Au- stria. — Obie o mocy 150 MW. (API)

W roku 1962 stanie pierwsza elektrownia jądrowa w Holan- dii. Podobną elektrownię uru- chomi w przeciągu 5 lat Au- stria. — Obie o mocy 150 MW. (API)

W świecie nauki i techniki

PODRÓŻ DO WNĘTRZA ZIEMI

Ciekawe wiercenia geologiczne rozpoczną się w najbliższych mie- siącach na Atlantyku i w kanale La Manche.

Pierwsze z nich dotyczy omawianego już w prasie projektu przewiercenia skorupy ziemskiej. Geolodzy zamierzają w ten spo- sób dostać się do jej płynnego wnętrza. Projekt ten podjęła, a obec- nie wykonuje Akademia Nauk USA. Aparaty wiertnicze zagłębia- ją się w dnie Atlantyku w tym miejscu, gdzie dno podnosi się i tworzy podwodny grzbiet (na północ od Puerto Rico). Pobrane próbki wiertnicze wykażą, jaki materiał znajduje się pod skorupą ziemi — można też będzie odtworzyć jej historię klimatyczną.

Wiercenia w kanale La Manche mają oczywiście inny cel. Cho- dzi tu o realizację projektu budowy tunelu pod Kanalem. Próbkę wiertniczą mają potwierdzić wyniki badań geofizycznych, prze- prowadzonych w roku ubiegłym na kanale La Manche. Uczeń zamierzają odnaleźć pod Kanalem najodpowiedniejszą z trzech znajdujących się pod nim warstw kredowych — o takiej grubości, która pozwoli na przeprowadzenie tunelu. (API)

ŚCIEKI — ŹRÓDŁEM ENERGII

Zagadnieniem niezwykle ważnym dla gospodarki jest obecnie oczyszczanie ścieków przemysłowych. Szczególnie niebezpieczne dla wód naturalnych są ścieki, odpływające z fabryk celulozy i pa- pieru, gdyż zawierają duże ilości szkodliwych tęgów posiarczy- nych.

Dotychczas gromadzono ścieki w odstojnikach, z których na- stępnie wydobywano opadający na dno szlam. Szlam ten suszono, a następnie palono, co oczywiście było dość długotrwałym procesem. Okazało się jednak, że zanieczyszczenia w ściekach można spa- lać na mokro, wykorzystując przy tym powstającą przy spalaniu energię. W tym celu stosuje się odpowiednie reaktory, pracujące pod wysokim ciśnieniem. Po rozruchu urządzenia, powstaje w nim temperatura około 300° C, pozwalająca na szybkie spalanie mokrego szlamu. (API)

NO PARKING!

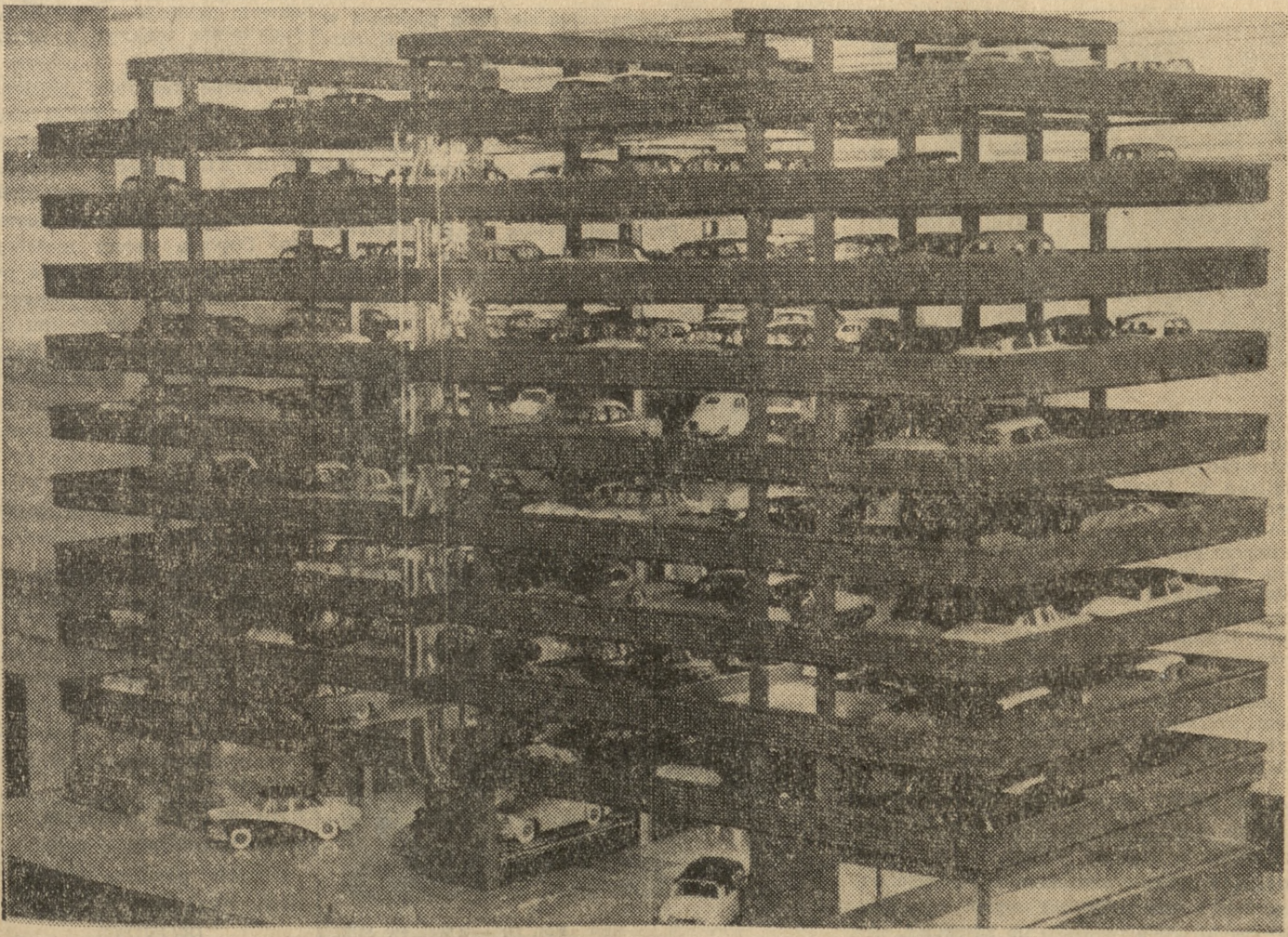
Nie wolno parkować!

Takie napisy znajduje au- tomobilista w City Londy- nu, ale także w wielu cen- tralnych punktach miasta. Przy głównych ulicach wol- no się zatrzymać na kwa- drans, jeżeli jest miejsce... Za parkowanie płaci się od kilku pensów do... 3 szylin- gów.

Ale w takim oto garażu, którego model widzimy na zdjęciu, można jednocześ- nie parkować 450 — 500 sa- mochodów. Jego budowę rozpoczęto w grudniu 1958 roku przy Trafalgar Squa- re. Podobne garaże dla sa- mochodów na parogózinie parkowanie buduje się w wielu miejscach Londynu, Paryża, Berlina, Wiednia, Rzymu i innych miastach.

W Warszawie budowa pierwszego parkingu — drapacza ma się rozpocząć w roku... Nie wiadomo do- brze którym. A w Pozna- niu? (AC)

Fot. — D. Scott





Zanim stanie na cokole...

Kilka lat temu ogłoszono w Poznaniu konkurs na projekt pomnika Adama Mickiewicza. Pierwszą nagrodę zdobył w nim — przypominamy — prof. Bazyli Wojtowicz wraz z współpracownikami: artystą rzeźbiarzem Czesławem Woźniakiem i niezującym już dziś architektem prof. inż. Stanisławem Podgórskim.

Wiele osób zapewne zastanawia się, co dalej z pomnikiem. Cóż, od projektu do jego realizacji droga daleka — pełna trudności. Wszystkich zainteresowanych możemy jednak zapewnić, że prace nad pomnikiem są już daleko zaawansowane.

Reporterska ciekawość zawiadła nas do ogrodu prof. Wojtowicza w Poznaniu przy ul. Wysockiego, gdzie znajduje się właśnie ogromny (wysoki 6,5 metra) gipsowy model.

Krótki odpoczynek. Artysty wtajemniczają reportera w arkana swej sztuki. Dowiedział się on wtedy m. in., że do wykonania modelu potrzeba ponad 3 tony gipsu.



Rzeźbiarze (prof. Wojtowicz i Cz. Woźniak) pracują przy nim od trzech miesięcy, po 10 godzin dziennie. W mieście nie można było znaleźć odpowiedniego co do wielkości pomieszczenia, dlatego też po czątkowo model rzeźbiono w niewielkiej pracowni prof. Wojtowicza. Opóźniało i komplikowało to pracę. Dopiero po zestawieniu dwóch połówek oko artysty dostrzegł wyraźnej niedokładności. Długo prof. Wojtowicz dokonuje ciągle poprawek.

Zanim jednak pomnik stanie na cokole, gipsowy model pocięty zostanie na drobniejsze części i przewieziony do odlewni. Tam części te posłużą do wykonania piaskowego negatywu, który z kolei służy do odlania pomnika. Stanie on na placu noszącym imię Wieszcza.



Fotografował:
K. Przychodzki
Pisał: M. Idziorek

Jeszcze o MOSINIE. Rodowód nazwy miasteczka nie jest ustalony. O to ludowe podanie, przekazane przez p. A. Długiego:

Wincenty z Szamotuł (czasy Władysława Łokietka, pierwsza połowa XIV wieku) miał przedzierać się z oddziałem przez gęste lasy, a pacholek Mazgaj przed nim uchylał gałęzie. W pewnej chwili zagapił się, gałąź puścił, a ta uderzyła w twarz magnata. Zleciała się służba z okrzykami współczucia: „Mo sine! Mo sine!” Stąd podobna Mosina. Ale powiatka ciągnie się dalej. Wincenty z Szamotuł potem powiedział: „Żebych cię, Mazgaju, tak nie lubił, to bych cię na gałęzi powiesić kazał. Podobno odtąd niemrawych nazwano mazgajami.

MILKOWO w powiecie czarnkowskim. Jak podaje p. Regina Malida z Gębic, według tamtejszych opowiadań przed 250 laty stał na miejscu tej wsi las. Właściciel Swinarski swoich licznych gości wywioził na jedną z tamtejszych polan, aby im pokazać urok swoich lasów. Jedną z pań stwierdziła:

— Jak tu miło!
Swinarski widząc zachwyt gości i chcąc dogodzić swojej fantazji, kazał las w pobliżu wykarczować i założyć wieś Milkowo. Tyle legenda. Według kronik Milkowo już istniało w 1500 roku.



NIEGOLEWO pod Bukiem należało do Grzymalitów (w XIII i XIV wieku tłukli się z Natęczami) — Niegolewskich przez 550 lat. Stąd sławny napoleoński legionista, ppik Andrzej Niegolewski. Na jego życzenie postawiono po jego śmierci pomnik dla uczczenia bohaterów spod Samosierry. Stary dwór spalił się w r. 1895. Nowy — w roku 1896.

J. P.

P. S. A. Długiemu z Poznania, p. Reginie Malidzie z Gębic i p. Fr. Stefańskiemu z Krobic — podziękowania za przesłane podania. Czytelników prosimy o ewtl. nadsyłanie stałych podań, legend itp.



Opracował: A. TREPKA

Zagadka przyrody czy techniki?

Istnieje wiele poszlak, że żyją ludzie, którzy mogliby udzielić bardzo konkretnych danych na ten temat, ale posługując się atrybutami posiadanej władzy, pilnie strzegą tajemnicy przed ingerencją profanów.

Z kolei ten nimb tajemniczości stał się znakomitą pożywką dla nieodpowiedzialnych wystąpień innych ludzi, którzy celem spyczenia tego urzekającego problemu sprawa dzają do wspólnego mianownika halucynacje, histerie, kompleks patologicznych stanów psychicznych, niedokładność czy niesumienność przeprowadzanych obserwacji, wreszcie wszystkie możliwe oraz niemożliwe zjawiska meteorologiczne i astronomiczne — aby rozdzielać szaty nad naiwnością obserwatorów, którzy mogli w tym całym bigosie hultajskim dopatrywać się... latających spodków. Ci ludzie, kreujący się na wyrocznię w sprawie, o której nieraz mają zupełnie zielone pojęcie, nie wahają się rzucić na szalę to, czym dysponują: dobre imię, stanowisko, uznanie jako naukowcy, publicyści, politycy...

A tymczasem historia uczy. Przynajmniej powinna uczyć.

Kiedy dojrzał czas, aby pokusić się o wylecenie w powietrze już nie balonem, ale na aparacie zaopatrzonym w silnik, śmigło i płyty nośne — entuzjazm konstruktorów pierwszych prymitywnych samolotów notorycznie gaszony

był (na szczęście bezowocnie) przez chórálne krakanie: — Maszyna cięższa od powietrza nie może latać. — Mniejsi i więksi teoretycy psuli papier, aby wyprowadzić dowód tej tezy. Na papierze wszystko pasowało bardzo ładnie...

Dalej sięgając wstecz, ludzie wynaleźli groźny dylemat: — Co będzie jeśli pola i osiedla przetrnie się wstępnymi liniami kolejowymi? A po tych torach pomkną pociągi...

Zanosilo się nie na żarty, że tak będzie — bo już kilka lokomotyw odbywało próbne rejsy. Co gorsza, jacyś szaleńcy entuzjastycznie się, że ten nowoczesny środek lokomocji będzie kursował z prędkością 20 km/godz., a może jeszcze szybciej.

Wtedy ludzie uderzyli na alarm. — Opamiętajcie się! — wołali w świętym oburzeniu. — Nie wolno dopuścić, aby mieszkańcy przyglądali się tym pociągom, pędzącym z tak zawrotną szybkością. Musicie zawsze obudować tory wysokimi płotami, gdyż od samego patrzenia świadkowie dostaliby zawrotu głowy. Kto wie, może nawet obłędu...

Tak mówili ludzie. Ci ludzie byli profesorami Paryskiej Akademii Nauk...

Nieco wcześniej w tej samej słynnej uczelni zazwyczaj dostojna atmosfera została naruszona istnymi kaskadami śmiechu. Śmieli się zażłożeń, przeważnie starzy, siwi uczeni. Niektórzy z nich zapisali się po wszystkie cza sy w złotej księdze ludzkiej pamięci.

Było to chyba najweselsze posiedzenie Akademii. Bo oto przewodniczącemu posiedzenia, uczonemu sławnemu szeroko poza granicami kraju, przyszło w udziale przeczytać tak niebywałą bzdurę... Właśnie gniótł w ręku pismo nadane przez Zarząd miasta Jouliać w Gaskonii. Donoszono w nim, że przed kilkoma dniami — 24 czerwca 1790 r. wieczorem ni mniej ni więcej tylko duży kamień spadł z nieba. Protokół podpisało trzystu świadków z merem na czele.

Na wniosek Alfonsa Bertillon, twórcy antropometrii, zebrani uczeni powzięli uchwałę wyrażającą ubolewanie, że ludność Jouliać ma tak głupiego mera, o równocześnie nadmiernie mu ufa, co doprowadziło mieszkanców do zbiorowego wzmówienia w siebie halucynacji; w dalszym ciągu uchwała zalecała na przyszłość radykalnie walczyć z takimi przesadami.

Uznanie realności istnienia meteoritów przez świat naukowy odwlekło się dlatego, że do XIX stulecia ani jeden „kamień z nieba” nie upadł w obecności żadnego uczonego. Dopiero deszcz meteoritów, który zwałł się na polia francuskiej miejscowości Aigle w 1803 r. przekonał zrućnialych profesorów Paryskiej Akademii Nauk, co nie stałoby się zresztą, gdyby nie piomienny, głęboko dokumentowany referat znanego astronoma i fizyka Biot, który przeprowadził badania w rejonie spadku.

Latające spodki jeszcze nie znalazły pełnego prawa obywatelstwa w powszechnej ocenie nauki światowej, jak gdyby po pół miliona obserwacji po rzuceniu się w oczy wielu uczonym — wciąż cierpliwie czekały na swoje Aigle i na swojego Biota.

Historia się powtarza — mówi przysłowie.

Historia powinna uczyć — mówi rozsadek.

(KONIEC)

Interes z sensem

Wiele regionów kraju może pozazdrościć Wielkopolsce świetnych warunków naturalnych wypoczynku. Liczne jeziora i lasy połączone dobrymi drogami, komunikacją autobusową i kolejową, czynią nasze województwo kandydatem na Mekkę turystów, wycieczkowiczów i letników. Nie stety, nadal tylko kandydatem, gdyż, jak dotąd, niewiele zrobiono, aby było inaczej. Nie wystarczy bowiem woda, trawka i trochę krzaków, tudzież (w najlepszym wypadku) kiepsko zaopatrzony kiosk i tablica z napisem: „Tu wolno się kąpać”, aby wzbudzić zainteresowanie spragnionych wypoczynku.



Wylom, choć jeszcze niewielki, zrobiło rok temu Prezydium PRN w Gnieźnie, przywracając do życia, znane dawniej kąpielisko w Powidzu. Ciekawi rezultatów tego przedsięwzięcia, spędziliśmy jedną (wówczas pogodną) niedzielę nad pięknym Jeziorem Powidzkim. Frekwencja wyszła nita. Na parkingu kilkanaście samochodów, motocykli, autobusów. Kierownik pensjonatu i restauracji zarazem, p. Wojciech Jabłoński, zaciera ręce i mówi uradowany, że „interes” prosperuje świetnie. Co niedzielę wydaje się tu po 300 obiadów. Wieczorne dancinigi cieszą się powodzeniem. Stanowczo jeszcze za mało pokoi do wynajęcia. Od przyszłego sezonu będzie ich razem 30, ale to też nie wystarczy.

A na plaży? (zdjęcie 1). Słońce, woda, łagodne piaszczyste dno i wygodne nawet dla dzieci zejście do jeziora, kajaki i łódzie. Kto pragnie cienia, może spocząć na ławkach i... na przykład zagrać w karty. Ot, jak to robią panowie na zdjęciu 2.



Można także zająć się pięcią piękną i w długich lub krótkich, jak kto potrafi, rozmowach umówić się na wieczorny spacer, a może dancing... (zdjęcie 3).

Jednym słowem, przed Powidzem jak najlepsza przyszłość. Pan Jabłoński nawet twierdzi, że już w tym sezonie będą spore dochody, a po pełnym uruchomieniu kąpieliska co najmniej 300 tysięcy rocznie.

Warto. aby doświadczeniami Gnieźnieńskiego Przedsiębiorstwa Kąpieliskowego — tak brzmi oficjalna nazwa — zainteresowały się inne prezydja powiatowych rad, a potem zakrzątały się na własnych podworkach. (ZM)



Fot. (3) — Zbigniew Mika